№ 54. Warszawa, dnia 23 Czerwca / 5 Lipca 1872 roku. Tom II. — Rok I.

WIENIEC

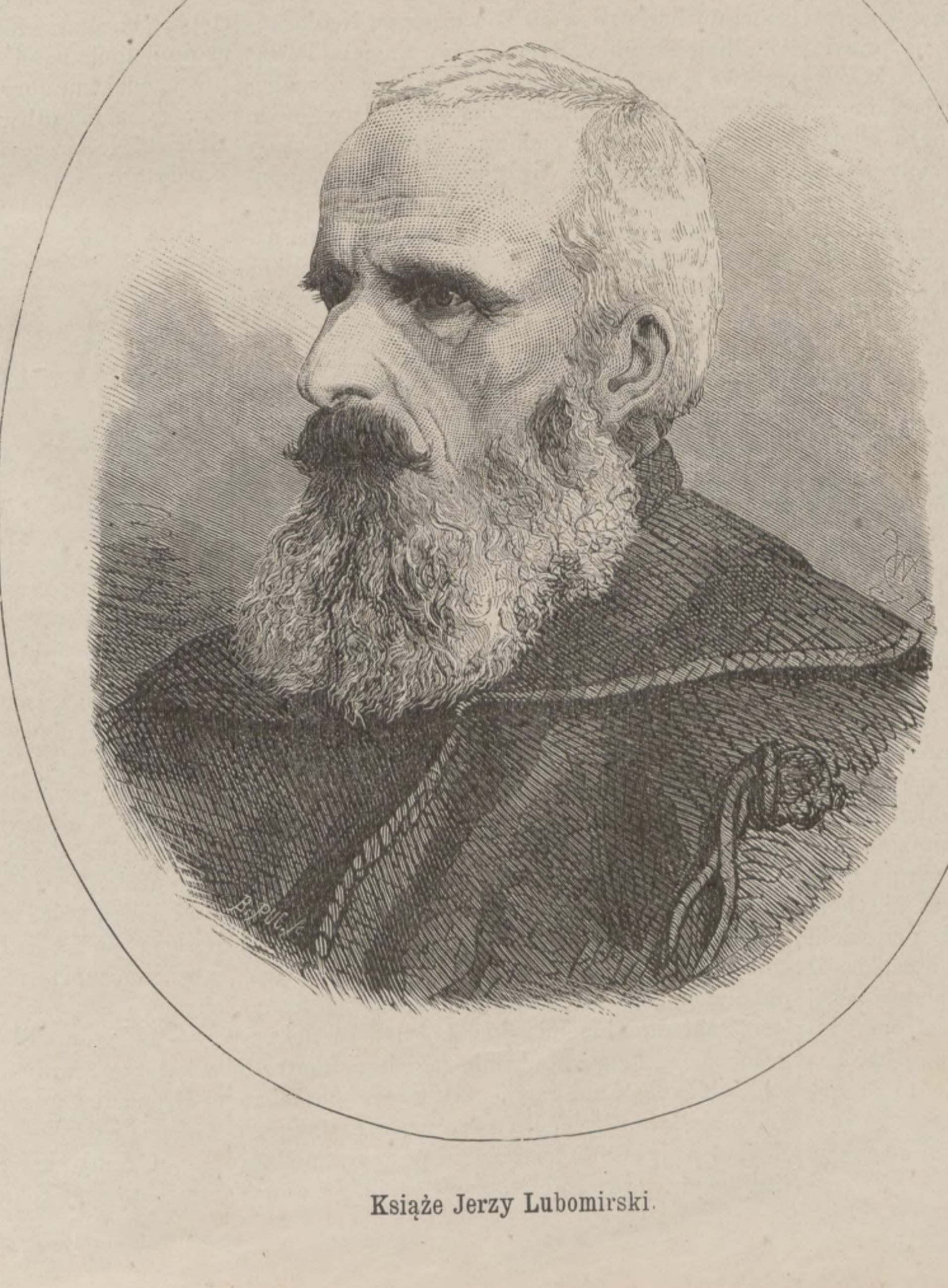
PISMO CZASOWE ILLUSTROWANE

WYCHODZĄCE DWA RAZY NA TYDZIEŃ.

KSIĄŻE JERZY LUBOMIRSKI.

Mało osób, któreby z tak silném poczuciem obowiązków obywatelskich, z tak gorącą miłością kraju łączyły taką nieskazitelną zacność w życiu powszedniém i publiczném i tak powszechną umiały sobie zjednać sympatyę i poważanie, jak zmarły nie dawno w Krakowie książę Jerzy Lubomirski, ordynat przeworski. Mało też komu towarzyszy do grobu tak powszechny, nie zmącony żadnym zarzutem, głos żalu i czci pośmiertnéj!

Mąż to był niezwykły; wychowany w surowych tradycyach przeszłości, które jak świętość przechował w duszy, pozostawał im wiernym do zgonu. Surowo pojmował obowiązki, które bądź sam na siebie przyjął, bądź uznawał za przekazane sobie stanowiskiem i urodzeniem, i pełnił też je z całą gorliwością, z całém poświęceniem osobistém, połączoném częstokroć ze znacznemi ofiarami materyalnemi.



Książe Jerzy Lubomirski.

Był on jedynym synem księcia Henryka Lubomirskiego i Teresy z Czartoryskich Lubomirskiéj, jednéj z pięciu córek księcia Józefa Czartoryskiego, stolnika litewskiego. Książę Henryk, którego pamięć żywo przechowuje się między tymi, co go jeszcze znali osobiście, był to obywatel w całém tego słowa znaczeniu: zacny, szlachetny, ludzki, uczynny. Miał przeto młody Jerzy piękny wzór do naśladowania w ojcu i wstąpił też w jego tory. Urodzony w r. 1817 w Wiedniu, tamże pobierał pierwsze nauki w zakładzie jezuity Klinkowstrema pod kierunkiem uczonego pedagoga francuzkiego Jourdain'a, znanego w literaturze francuzkiéj pod pseudonymem St-Foi. Na uniwersytet wysłano go do Pragi, a towarzystwo młodzieży czeskiéj i słowiańskiéj, którém się tutaj ujrzał otoczony, i zaczerpnięte tam przekonania i widoki wywarły stanowczy wpływ na cały późniejszy kierunek jego wyobrażeń i przekonań po-

itycznych. Skończywszy nauki uniwersyteckie, udał się na dłuższy czas do Rzymu, gdzie zastał Zygmunta Krasińskiego, Augusta Cieszkowskiego i całe grono otaczającego ich towarzystwa, do którego przylgnął sercem i duszą, znalazłszy w niém pokrewne sobie usposobienia i dążności. Jeżeli poprzedni pobyt w Pradze nadał kierunek polityczny pojęciom Lubomirskiego w duchu słowiańskim, to znowu pobyt w Rzymie podniósł i utrwalił w nim ducha religijności, zaczerpniętego już w początkowém wychowaniu i w kole rodzinnych tradycyj.

Gorącéj duszy i poetycznego usposobienia, dając się unosić fantazyi i uczuciu, stawał się nieraz Lubomirski ekscentrykiem i był nim zarówno w polityce jak w życiu codzienném i publiczném. A chociaż nigdy nie imał poetycznego pióra, duszą i zapatrywaniem się na świat i życie był poetą pokrewnym Krasińskiemu, z którym go ścisła wieloletnia łączyła przyjaźń.

Wiadomo, że poezya nie zawsze idzie w parze z praktycznym tokiem spraw świeckich; jakoż doznał ś. p. Jerzy ciężkich moralnych w życiu zawodów. Po raz pierwszy wystąpił na arenę polityczną w roku 1848, stanąwszy na czele deputacyi jadącéj do Wiednia do cesarza, a w parę miesięcy późniéj obrany posłem na sejm rakuski, występował tam w duchu federalistycznym, dążąc do ukonstytuowania monarchii rakuskiéj na podstawie federalizmu słowiańskiego. Jeździł do Wrocławia i Pragi na zjazd słowiański, gdzie też same widoki polityczne czynnie przeprowadzić usiłował. Pobytu swego w Pradze podczas wybuchłych tamże pod tę porę rozruchów, omal życiem nie przypłacił. Powróciwszy do Wiednia, przyczynił się znakomicie do uchwalenia indemnizacyi za zniesione uchwałą sejmu powinności poddańcze, którę to wynagrodzenie uważał za konieczne, oparte na prawie własności i poczuciu sprawiedliwości, wbrew stronnictwu radykalnemu, przemawiającemu za zniesieniem tych powinności bez żadnego wynagrodzenia. Obrót, jaki następnie wzięły sprawy polityczne po rewolucyi wiedeńskiéj i śmierci Latoura, był ciężkim moralnym ciosem dla Lubomirskiego i zdarł ułudę politycznych jego kombinacyj. Kiedy Kroaci pod wodzą Jelaczyca oblegli Wiedeń razem z armią księcia Windischgrätza, Lubomirski zrozpaczony usiłował sobie życie odebrać wystrzałem z pistoletu. Niespodziany zawód doznany w rachubach politycznych, przyprowadził go o ciężką chorobę, którą przebywszy, zasiadał jeszcze podczas dalszego ciągu obrad sejmu w Kromieryżu; wszelako pełen goryczy i zniechęcenia mało był już czynnym, a po rozwiązaniu sejmu kromieryzkiego oddał się wyłącznie zajęciom naukowym jako kurator Zakładu imienia Ossolińskich, dążąc do tego, aby zakład po wielu leciech niepowodzeń uporządkować i do należytego przywieść stanu. Nie dano mu jednak tego dokonać, albowiem wkrótce odebrano mu kuratoryę, pod pozorem, iż według statutów Zakładu i umowy zawartéj w tym względzie pomiędzy ś. p. Ossolińskim, fundatorem zakładu, a księciem Lubomirskim, kuratorya Zakładu miała być ściśle połączona z ordynacyą przeworską, któréj fundacya nie była jeszcze z rozmaitych jurydycznych przeszkód dokonana. Rząd ówczesny orzekł zatém, iż dopóki ustanowienie ordynacyi przeworskiéj nie będzie przeprowadzone i zatwierdzone, dopóty książę Lubomirski nie ma prawa być kuratorem Zakładu Ossolińskich. Było to za rządów ministra Bacha, z którego rozkazu równocześnie z odebraniem Lubomirskiemu kuratoryi Zakładu Ossolińskich odebrano także prawnemu kuratorowi zarząd fundacyi Skarbkowskiéj, przeistoczono akademię Jagiellońską na uniwersytet niemiecki i w ogóle starano się scentralizować w ręku władzy rządowéj ster wszystkich instytucyj krajowych, co ówczesny namiestnik hr. Gołuchowski z wielką przeprowadzał energią. Zastępcą kuratora Zakładu imienia Ossolińskich mianował radcę namiestnictwa Maurycego hr. Dzieduszyckiego, znanego na polu naukowém z prac historycznych. Dwadzieścia kilka lat ubiegło, nim książę Jerzy zdołał przemódz stawiane mu trudności, wypełnić formalności z ustanowieniem ordynacyi przeworskiéj połączone i objąć napowrót należącą mu z prawa kuratoryę Zakładu Ossolińskich. Przez cały ten czas mało oddawał się sprawom politycznym. W roku 1861, wybrany posłem na sejm krajowy, raz tylko wstąpił na trybunę w sprawie Zakładu imienia Ossolińskich i wkrótce złożył mandat poselski, gdy sejm wszedłszy na tory polityki utylitarnéj, rozmijał się coraz bardziéj z zasadniczym kierunkiem jego politycznych widoków. W roku 1868 mianowany przez cesarza dziedzicznym członkiem izby panów wiedeńskiéj rady państwa, wystąpił tam także raz tylko jeden w obronie sprawy konkordatu. Tém gorliwiéj za to oddawał się sprawom naukowym. W r. 1858 odstąpił pałac swój w Krakowie na urządzenie wystawy starożytności, do któréj urządzenia dał głównie pochop i wzbogacił ją przewiezieniem na ten czas do Krakowa wszystkich zbiorów Przeworskich. Mianowany następnie członkiem towarzystwa Naukowego krakowskiego, jako prezes oddziału archeologicznego, gorliwie popierał prace Towarzystwa i niezmiernie wielkie położył w tym kierunku zasługi. On to przyczynił się w bardzo znacznéj części do budowy domu Towarzystwa Naukowego, albowiem po śmierci byłego prezesa Towarzystwa kasztelana Wężyka, zająwszy się rozpoczętém przezeń dziełem, sam niemal własnym kosztem dokończył budowy. Ostatniemi czasy dostarczył komissyi historycznéj hojnie funduszu na wydawnictwo pomników historycznych, a utworzona obecnie w Krakowie Akademia nauk i Umiejętności jego głównie usilnym staraniom i wpływom byt swój i zatwierdzenie cesarskie zawdzięcza. Był wszakże w wymaganiach swych i w ocenieniu siebie samego tak skromny, iż gdy chciano wynagrodzić położone zasługi wyborem na członka Akademii, oświadczył stanowczo, iż nie przyjmie wyboru, albowiem uważałby za ironię, gdyby go wybrano do grona najwyższéj w kraju naukowéj instytucyi, skoro żadném naukowém dziełem wyboru tego nie uprawnił.

Objąwszy przed kilku laty napowrót kuratoryę Zakładu imienia Ossolińskich, zajął się gorliwie reorganizacyą Zakładu i postawieniem go na stopę europejskich zakładów tego rodzaju. Wymagało to nietylko osobistych starań, ale i kosztów, które Lubomirski w znacznéj części z własnéj opędził szkatuły, skoro dochody Zakładu nie wystarczały, a nowy przezeń wprowadzony porządek wymagał nowych urządzeń i restauracyi całego gmachu. Na zastępcę swego jako kuratora naukowego powołał professora Małeckiego, pomnożył liczbę urzędników Zakładu, co było niezbędnie potrzebne przy powiększeniu czytelni, a zwłaszcza przy rozszerzeniu stosunków Zakładu z innemi zakładami naukowemi zagranicznemi i zaprowadzeniu ściślejszéj kontrolli nad biblioteką i zbiorami. Główném staraniem Lubomirskiego było, aby poruczony pieczy jego Zakład podnieść do znaczenia i powagi właściwéj instytucyi tego rodzaju, mającéj zadanie być wyrazem naukowości kraju. Przedsiębrał w tym kierunku wszystko, co tylko było można i co za pożyteczne uznawał, zasięgając pomocy i rady ludzi naukowych. Jakoż przez śmierć jego ponosi Zakład ogromną stratę — stratę miłującego serdecznie opiekuna, światłego kierownika, oddanego mu całą duszą. Ś. p. Lubomirski połączył z muzeum Zakładu zbiory przeworskie, które przewieźć rozkazał do Lwowa. Objęcie kuratoryi upamiętnił wydaniem jednego z najdawniejszych zabytków piśmiennych *Szarospatackiéj Biblii królowéj Zofii*, skopiowanéj na miejscu z autografu i wydanéj następnie we Lwowie nakładem jego przez professora Małeckiego. Postanowił też wydawać kolejno wszystkie ważniejsze rękopisma Zakładu, które to wydawnictwo rozpoczął *Dyplomataryuszem opactwa Tynieckiego*.

Ostatniemi czasy nie mógł się ś. p. Lubomirski oddawać osobiście sprawom Zakładu, częścią dla nadwątlonego zdrowia częścią, iż inne zajęcia mianowicie sprawa Akademii krakowskiej wymagała pobytu jego gdzieindziéj. W owym to czasie ś. p. Lubomirski coraz bardziéj upadał na siłach, a choroba coraz szybsze czyniła postępy. Umarł w Krakowie dnia 24 Maja b. r.

Wieść ta boleśnie dotknęła wszystkich. Pogrzeb był wspaniały, albowiem cały Kraków pośpieszył aby oddać cześć pośmiertną zmarłemu. Członkowie Towarzystwa Naukowego nieśli trumnę do kościoła Panny Maryi, a nad grobem przemówił prezes Towarzystwa prof. Majer i Henryk hr. Wodzicki, pierwszy wskazał jego zasługi położone dla Towarzystwa i Akademii, drugi podniósł jego cnoty obywatelskie i publiczne.

Ś. p. Jerzy Lubomirski ożeniony w r. 1854 z Cecylią Zamojską, córką Andrzeja Zamojskiego, pozostawił dwóch synów i dwie córki. Zastępcą kuratora Zakładu imienia Ossolińskich aż do pełnoletności syna, na którego z prawa przechodzi kuratorya łącznie z ordynacyą Przeworską, mianował w testamencie Kazimierza hr. Krasickiego, prezesa galicyjskiego Towarzystwa Kredytowego.

NA MARNE.

SZKIC POWIEŚCIOWY

przez

HENRYKA SIENKIEWICZA.

Ciąg dalszy. (*Ob. Nr. 53*).

Przy herbacie siadła wedle swego kuzyna trochę zamyślona, trochę smutna, zwracając niespokojne spojrzenia w stronę Augustynowicza, który od chwili swéj złośliwéj interwencyi, przejmował ją pewną obawą.

— Jakoś nie swoja jesteś, Lulu? pytała pani Wizbergowa przykładając rękę do jéj rozpalonego czoła.

Malinka, która stała z imbrykiem w dłoni, nalewając pod światło herbatę, zatrzymała złotawy strumień, i zwróciwszy głowę rzekła z uśmiechem:

— Lula zamyślona tylko.—Budzę cię, Lulu, w kolorze czarnym—czy kochasz?

Hrabianka zrozumiała myśl Malinki, nie zmieszała się jednak.

— Czarny kolor to kolor smutku, w każdym razie—to mój kolor.

— I piękny jak twoje słowo kuzynko!—dodał Pełski.

Po herbacie siadła do fortepianu, a z za pulpitu widać było jéj piękne czoło, oznaczone regularnemi brwiami. Grała jakiś smętny mazurek Szopena, a z twarzy jéj nie schodziła tęsknota i niepokój.

Augustynowicz znał muzykę i z tonów odgadł stan duszy hrabianki; mimo to pomyślał:

— Tęskni, więc gra, a gra, bo kuzynek słucha.

Wracając do domu, rozmyślał jednak dłużéj o Luli i o Szwarcu, niżby po jego lekkomyślnéj naturze należało się spodziewać.

— E, do szatana! co to będzie? co to będzie? pomrukiwał z cicha.

Wśród tych rozmyślań wszedł do mieszkania. Szwarc jeszcze nie spał, siedział podparty na łokciach nad jakąś książką.

— Byłeś u pani Wizbergowéj?

— Byłem.

Niecierpliwość w połączeniu z ciekawością drgała na twarzy Szwarca, widocznie chciał rozpytywać się o wieczór, ale rozmyśliwszy się podparł znów głowę rękoma i jął czytać.

Nagle jednak rzucił książkę i przeszedł się parę razy po izbie.

— Byłeś tedy u pani Wizbergowéj?

— Byłem.

— Ha!...

— No, co?

— Nic.

Siadł znów do książki.

XV.

Upłynęło parę tygodni. Stosunki znanych nam osób nie ulegały zmianie—Szwarc nie bywał u pani Wizbergowéj, za to Pełski stał się tam codziennym gościem, mimo Augustynowicza, który mu dokuczał i którego hrabia nie cierpiał.

— Jakże ci się wydaje kuzynek hrabianki? pytał go kiedyś Szwarc.

— Przyjacielu, to jest zero.

— Cóż mu zarzucasz?

— Nic, co znaczy właśnie głupotę. Rozmawia z pannami o czém może, nosi modne surduty, glansowane rękawiczki, wiąże symetrycznie kokardę swego krawata, wychwala cnotę, gani występek, mówi, że lepiéj być mądrym niż nie, a jednak... o Szwarc! jest to zero.

— Ryczałtowo ludzi sądzisz.

— To znowu! ryczałtowo. Jak ci wiadomo: pierś wedle miary krawca, nie Fidyasza! a w dalszym ciągu śmiech mnie bierze, ale serce mi nie pęka—miałoby też o co pękać!

— Mów-no jaśniej.

— Coż ci powiem? Ot! człek mierny, człek środka, tylko nie złotego, uczciwy, bo nie popełnił nic nieuczciwego i odwrotnie! A dajże mi z nim pokój! Mówmy lepiéj o filozofii albo śpiewajmy stare kontredanse—co wolisz?

— Mówmy o nim, proszę cię o to, rzekł z naciskiem Szwarc.

— No, to nałóż mi fajkę.

Szwarc nałożył mu fajkę, sam zapalił cygaro i jął przechadzać się po pokoju.

— Nie zdaję ci sprawy z tych tam wieczorów, bo nie chcę cię drażnić, mówił Augustynowicz; ale kiedy sam tego pragniesz, to słuchaj. Rzecz jest taka: Dowiedział się Pełski, że po starym hrabi została córka, a ciekawość go przywiodła do zobaczenia jéj. Widzisz, ludzie są próżni, lubią effekta, a w roli bogatego kuzyna względem biednéj kuzynki nie zbywa na nich — to też Pełskiemu podobała się ta rola. Ha komużby się ta rola nie podobała? Jesteś bogaty, a podajesz jéj (to jest kuzynce) rękę, osłaniasz przemożną opieką, dziwisz ją delikatnością uczucia, postępków, stajesz się królewiczem,—ideałem—ech! stary! jakże to łechce próżność, jakie to romansowe, niech mnie szatan!...

„Rży mój kary, ziemię grzebie!...

To cała powieść: Koń, postać szlachetna, z jéj strony łzy i uśmiéchy—potém los ich rozłącza, potém się spotykają... godzą... i... Numa idzie za Pompiliusza!

Ostatnie słowa Augustynowicz wymówił z pewną złością.

— Mówisz o Luli i Pełskim? pytał ponuro Szwarc.

— Tak jest; Pełski zobaczył ją przez ciekawość a ona, jak wiesz, śliczna dziewczyna, to też rola podobała mu się. Pełski człek powszedni, arystokrata... jedném słowem zero... ale... jeśli nie będzie zważał na posag...

— Ba! jeśli?! przerwał Szwarc podchwytując ostatnie słowo.

— A ty czego się łudzisz? Tobie to winno być wszystko jedno — tyś nie dziecię, ani niewiasta; wiedziałeś coś robił, idąc do Heleny w oświadczyny!

Szwarc zamilkł; Augustynowicz ciągnął daléj:

— Mówię: Pełski człek młody i bogaty, ona mu się bardzo podoba, to może i nie zważać na posag—ona mu się podoba, to grunt!

— Przypuśćmy, że nie będzie zważał na posag—daléj?

— W takim razie Lula zostanie Pełską.

— Zgodzi się mówisz, na to?

Oczy Szwarca płonęły.

— Słuchaj stary, ja mówię: nie wiem do czego ta rozmowa. Dziśby się może nie zgodziła... ale za pół roku lub rok to się zgodzi. Gdybyś tam bywał, mógłbyś z nim walczyć, inaczéj, powtarzam, ona się zgodzi.

— Na czém opierasz ten sąd?

— Na czém? Pewnego wieczoru, kiedym tam widział Pełskiego, słyszę, a on się pyta: co to za Szwarc? z jakich to Szwarców? A ona: „Nie wiem doprawdy”. Widzisz! a kiedym powiedział, żeś syn kowala, ona stanęła w płomieniach i o mało się nie rozpłakała ze złości na mnie. Ot masz!

Szwarc także czuł w téj chwili jakby ochotę do płaczu ze złości.

— Widzisz, prawił Augustynowicz, Pełski bez świadomości i woli postępuje bardzo trafnie; on jéj ciągle przypomina dawne tytuły, świetną przeszłość, świetne stosunki—po prostu nie może nawet inaczéj... A ona i bez tego arystokratka! Pamiętasz jak to gniewało ongi mnie i ciebie? A ileś się to napracował, żeby te zasady w niéj zachwiać! Na krokodyla! nie masz nic dumniejszego niż nędza dumna! Pełski dobrze robi, bo łechce jéj próżność, bo rozbudza miłość własną—to oddala ją od nas, a my, mój stary, tacy hrabiowie, jak... bez porównań, do szatana! bo i nie znajdę tu porównań.

Jakoż nie znalazł porównań, i w braku ich zaczął puszczać rzęsiste kółka z dymu, usilnie starając się uchwycić którekolwiek na palec. Szwarc tymczasem zawzięcie patrzał w jeden punkt na podłodze, wreszcie ozwał się:

— Powiedziałeś jéj, że się żenię z Heleną?

— Nie.

— Dla czego?

— Mówię, że pracujesz, i dla tego nie przychodzisz. Niech sprawa między tobą i Pełskim rozegra się w niéj saméj, w jéj sumieniu i sercu. Twoje małżeństwo to wypadek zewnętrzny, a stanowczo decydujący na jego stronę.

Szwarc zbliżył się, jego palce wpiły się w ramię Augustynowicza.

— Słuchaj, rzekł gwałtownie: a jeśli w téj walce ja wygram?!

— Idź do dyabła! i nie ściskaj mnie tak silnie Rzucam tobie toż samo pytanie: Jeśli w téj walce wygrasz?

Spojrzeli sobie oko w oko—jakieś nieprzyjazne uczucie ścisnęło im serca.

Wreszcie Szwarc puścił ramię Augustynowicza, i ukrywszy twarz w dłoniach, rzucił się na łóżko. Augustynowicz spojrzał nań groźnie, potém mniéj groźnie i jeszcze mniéj groźnie; nakoniec przysunął się doń, zaglądając mu pod palce.

Pociągnął go za połę, a głos jego był już miękki i wzruszony.

— Stary!

Szwarc się nie odzywał.

— Mój stary, nie gniewaj się. Jeśli wygrasz, schowasz ją w sercu jak świętą, a ja jéj powiem: Idź jasny aniele drogą obowiązku, jak Szwarc poszedł.

XVI.

Helena zaledwie sama wierzyła swemu szczęściu. Gotowała się do ślubu. Chmurna jéj przeszłość znikła, noc życia była skończona, świtał ranek.

Z kobiety, gwiazdy błędnéj, która nie wiedzieć gdzie i jak nizko upadnie, z kobiety tułaczki, z kobiety bez jutra, wejść w nowy peryod życia, pozyskać miłość kochanego człowieka, zostać w przyszłości żoną, rozpocząć życie ciche, życie jutra, okolone szacunkiem, zapełnione miłością i obowiązkiem—oto miała być jéj przyszłość.

Helena rozumiała, a raczéj przeczuwała ową anormalność między swą przyszłością a przeszłością. „Z takiego życia, jak moje, to chyba nie to wyniknąć powinno; jam nie warta szczęścia”, szeptała z cicha do Szwarca, gdy jéj na palec wkładał zaręczynowy pierścionek. „Jam nie warta takiego szczęścia”.

Miała racyę.

Z logiki jéj życia nie mogła taka przyszłość wykwitnąć, ale życie jéj przestało już iść własnym biegiem.

Bywają gwiazdy, które w samotniach krążą po nieokreślonych drogach, aż porwane przez potężniejszą planetę, idą już daléj koło niéj, lub z nią.

Coś podobnego przytrafiło się Helenie.

Potężniejsza wola przyciągnęła słabszą. Helena spotkała na drodze swéj Szwarca, i odtąd szła już jego koleją.

Zrozumienie tego czyniło ją spokojniejszą. „O! jeśli on zechce, będę szczęśliwą!” myślała nieraz.

Wierzyła bez granic nietylko w charakter, ale i w potęgę Szwarca. *(d. c. n.)*

Wrażenia z Wystawy

SZTUK PIĘKNYCH.

Przyznaj, o czytelniku! że bywają chwile, w których — zamyślasz się. I jakkolwiek jesteś *człowiekiem praktycznym* (powiedzieć, żeś idealista, znaczyłoby dzisiaj: skrzywdzić cię), w owych chwilach dusza twoja obłóczy się mgłą se nności. Pragniesz, a pragnienie jasno ci się nie przedstawia. Tęsknisz zatém. Bo czémże jest tęsknota? Chęcią nieświadomą siebie.

A nie mówię o takiém zamyśleniu, które jest prostą kombinacyą cyfr i faktów. Nie mówię o *namyśle*. Ten bowiem objaw jest funkcyą mózgu

zbyt pospolitą. Wypełnia on ją, ile razy siadasz do pisania listu, ile razy przypominasz sobie nazwisko dawnego przyjaciela, ile razy wreszcie przyjdą ci na pamięć Horacyuszowe „sprawy domu.”

O inném mówię zamyśleniu. Nie do powszednich, ale raczéj do świątecznych chwil duszy zaliczyć je wypada, (i dusza miewa swoje niedziele), do tych, w których czujesz się „aniołom równy.”

Wtenczas dziwne rzeczy dzieją się z tobą. Otacza cię tłum widzeń. Jakieś oderwane akorda drżą w powietrzu tuż koło ciebie. Jakieś fragmenta obrazów rysują się przed tobą tajemniczo. Ale kształty rozpływają się niby mgła nad jeziorem. Ale tony ptakom podobne, odlatują śpiewając. Nie masz siły zatrzymać ich. Brak ci téj mocy twórczéj, która z pojedynczych kształtów obraz, a z dźwięków luźnych pieśń układa. Widzisz—ale za potrójną firanką muślinu. Słyszysz—ale tylko echo, blade przedrzeźnianie melodyi.

W takich chwilach drżącą od wzruszenia ręką przewracasz kartki *Szecherazady*, lub słuchasz z entuzyazmem czarów opery i dramatu. W takich chwilach idziesz oglądać ideał ucieleśniony rysunkiem i farbą, albo zaklęty w kamieniu...

W takich chwilach wabi cię do siebie — Sztuka.

Słoneczna ta pani, która „stopami wrosła w ziemię, a skronią o gwiazdy trąca” daje zaspokojenie wszystkim pragnieniom twoim. Pod jéj władzą, to co było snem czarownym a nieujętym, wyraźne kształty przybiera. Ideał występuje w szacie materyi i przemawia donośnym językiem zmysłów.

Wtenczas „posły duszy,” jak o zmysłach mówi Cycero, biegają ustawicznie przynosząc wrażenia, pokarm dla twéj istoty wewnętrznéj. Wtenczas wyobraźnia twoja, drzemiąca często (przypuszczam), przebudza się, jak kwiat na wiosnę. Wtenczas myśli stają się kolorowe nakształt okien katedralnych rozjaśnionych słońcem. Wtenczas tracisz na chwilę świadomość miejsca, czasu, i pojmujesz tajemnicę *abstrakcyi*, filozoficznego haszyszu. Wtenczas—dusza twoja ucztuje.

Jeszcze słówko.

Posłuchaj, o czytelniku! rady życzliwéj.

Przypuszczam, że jedna z chwil, które analizowałem, nawiedziła cię właśnie. Przypuszczam, żeś przedsięwziął pielgrzymkę do siódmego nieba sztuki. Że głód duszy obudził się w tobie i zaspokoić go postanowiłeś...

Idź zatém w pokoju, ale... nie sam.

Samotność w takich chwilach kamieniem ciąży. Z piersi przepełnionéj wzruszeniem dobywa się przemocą wyraz, okrzyk, westchnienie... To mimowolna spowiedź duszy. Jeśli sam będziesz, komuż ją wypowiesz? Ścianom martwym?...

Otóż pozwól, bym ci się ofiarował za towarzysza.

Daj mi rękę z ufnością i wstąpmy razem w słoneczną krainę sztuki.

Po prostu odwiedźmy galeryę naszego Towarzystwa Zachęty.

* * *

Na wstępie wita nas *Odaliska* (p. Szyndler).

W półmroku haremowym przeciąga się ona leniwie. Członki jéj giętkie jak u węża, oczy z poza mgły sennéj patrzą na widza. W twarzy namiętność i razem omdlenie. Podobna do kotki mrużącéj oczy na słońcu. Albo do przyczajonéj wśród palm tygrysicy...

Mijajmy ją coprędzéj, bo tuż za nią—procesya. Otacza nas chmurą kadzidło, głuszy dzwonów i dzwonków muzyka. Wiatr chwieje chorągwiami, mnichy w różnobarwnych habitach błyszczą pstrokato jak motyle. Kobiety zarzucają drogę kwiatami. Wśród kobiet, jedne piękne jak Julia Szekspirowska, inne jak owa Grazziella, którą w chacie rybackiéj Lamartine odnalazł—i unieśmiertelnił, jeszcze inne straszne jak Hekaty. Między mężczyznami taż sama różność. Zwraca uwagę jeden padający na kolana, którego twarz masępi profil Danta. Lud włoski, namiętny we wszystkiém, modli się gorąco i czarne oczy zwraca miłośnie na Madonnę. To właśnie jéj uroczystość. *Festa della Madonna.* Schylmy głowę przed Niepokalaną...

Piękna to scena—promienna od słońca, kolorowych strojów i wiary. Tło, na którem malowniczo się rozwija, tworzy mur klasztoru i łańcuch skał w Capri. Tym zaś, co ją z życia przeniósł na płótno, jest p. Suchodolski Zdzisław.

Powiew czasów prastarych rozmarza nas przy *Łokietku na tułactwie* (p. Gersona). Jaka pyszna archaiczność! Sam koloryt przenosi patrzącego w świat dawny, tajemniczego uroku pełny. Barwy nie jaskrawe, przytłumione owszem. Okolica górska, tak smutna! Król pochylił głowę, ale po błyskawicach rozjaśniających czoło, po gromach przyczajonych pod rzęsami znać, że ją wkrótce podniesie...

Znów obraz dzisiejszy. Zimą, o zachodzie słońca wracają nowożeńcy *od ślubu* (p. Kostrzewski). On butny choć w sukmanie; ona przytulona do niego z zaufaniem, jakie daje miłość. Milczą. Ale skrzypiciel gra dziarskiego oberka, ale basetlista smaruje po strunach zamaszyście... Drużbowie przydzwaniają w takt podkówkami. Druchny chichoczą między sobą. Widać kościołek przyprószony śniegiem, przy gościńcu dwie sosny kąpią się w różowych blaskach zachodu. Śliczne te sosny! Takie znajome, takie nasze.... Pan Kostrzewski umie ożywiać naturę. Nie zapomina, że w krainie kształtów wszystko ma swoją fizyognomię. Kształt bowiem każdy jest tylko symbolem idei.

Tę zaletę posiadają i dwa inne obrazki pana Kostrzewskiego: *Grzybobranie* i *Wędrówka Cyganów*.

Pan J. Suchodolski pokazuje nam, jak to dawniéj odbywano spacer na Bielany. Epoka, którą jego obraz odtwarza styka się prawie z naszą, typów jéj jednak dziś już nie znaleźć. W koczu zaprzężonym w pięć koni, z lokajem, woźnicą i forysiem, siedzi sztywna dama w kapeluszu o nietoperzych skrzydłach. Wszystko tu zresztą sztywne. Żałować trzeba, że na miejscu téj damy *d'un certain âge*, artysta nie posadził jakiéj welinowéj pięknostki z owych czasów, upudrowanéj i umuszkowanéj. Typ taki lepiejby charakteryzował epokę. Niepojęte jest także dla nas, czemu cały obraz zalany światłem fioletowém?...

W Pracowni Wita Stwosza (p. Głębocki) jest dość figur ubranych w delje z historycznéj garderoby wydobyte, ale cech wieku nader w niéj mało. Sam Stwosz nie „mistrzem” jest, ale jakby majstrem kamieniarskim. P. G. nie dał mu aureoli wzniosłości przyznanéj przez potomnych. Kreacyom Pola i Matejki przeciwstawił swoją. Duch wielkiego Krakowianina nie będzie mu za to wdzięczny.

Jedna z dumek ukraińskich, w formie przestrogi powiada: „Ne chody Hryciu na weczernyciu.” Na obrazie jednak p. Gierymskiego Hryć nie posłuchał przestrogi i wmieszany w tłum prządek czarnobrewych słucha kądzielowéj baśni. Ogień dogasa, w izbie mroczno, jakieś nieokreślone cienie snują się dokoła... Patrzący doświadcza rozmarzenia, jak gdyby istotnie słuchał fantastycznych zmyśleń o zbójcach i królewnach zaklętych...

Pan Chełmoński przedstawił „suchego prze-



Jakoś nie swoja jesteś Lulu? spytała p. Wizbergowa, przykładając rękę do jéj rozpalonego czoła.

Illustracya Henryka Pillatego do powieści.



Widok miasta Ostroga. Podług fotografii z natury.

twór oceanu"—jak o stepie powiada Mickiewicz. W jego falach zatopił gromadkę myśliwych, a ślicznéj parze zajączków kazał „myć łapki" i wdzięczyć się do widza. Pan Chełmoński jest realistą—w formie, nie w pomysłach. Daje mu to cechę wybitną.

Jedną z właściwości naszego wieku jest podnoszenie faktów powszedniego życia do wysokości poezyi. Taką a nie inną missyę ma sztuka. Ożenić ideał z rzeczywistością, niebiosa z ziemią, to jéj zadanie ostateczne. Nieinaczéj—poezya bowiem, jak słońce, winna blaski swoje równo dzielić między szczyty i niziny. W przedmowie do jednego ze swych dramatów powiada Hugo: „Patrząc na rzeczy z pewnéj wysokości przyznać trzeba, że nie ma ani dobrych ani złych przedmiotów, są tylko dobrzy lub źli artyści. Wszystko jest przedmiotem dla sztuki, i wszystko w jéj dziedzinie ma prawo obywatelstwa." W „Piosenkach ulicznych" mówi także: „Nic nie jest nisko, jeśli duch wysoko." Opierając się na zdaniu poety, który nietylko kapłanem, ale i prawodawcą jest sztuki, rozgrzeszamy pana Ks. Pillatego, chociaż za treść kompozycyi artystycznéj wziął—*stajnię*. Czy jednak podejmując przedmiot z dołu, potrafił on duchem utrzymać się „wysoko?" Niezupełnie. Obrazkowi jego, *rodzajowemu*, jak dzisiaj mówią, brakuje właśnie owego promienia idealizującego ziemię. Wierzymy jednak, że pan P. w przyszłości nie będzie się ograniczał na fotografowaniu wnętrza budynków gospodarskich, gdyż byłoby to zbyt wielkiém ograniczeniem twórczości artystycznéj.

O obrazku p. Lasockiego opatrzonym etykietą: „Dante spostrzega Ugolina i *przeraża się*" (sic)—powiemy tyle tylko, że prócz czerwonéj szaty Danta, niczém „Bozkiéj Komedyi" nie przypomina.

Pan Brodowski wymalował cudnego arabczyka, któremu dał imię „Faworyt." Z jego źrenic pełnych żaru wygląda dusza. Faworyt ten mógłby bez zawstydzenia stanąć obok koni Kossaka, a nawet Horacego Vernet'a.

W dziejach wiejskiego życia monotonnego jak wołanie przepiórki, wybitną odgrywa rolę *studnia*, jedyna studnia z któréj całe sioło czerpie wodę. Tu starsze kobiety ulgę czynią sercu obgadując wzajemnie mężów. Tu odbywają się *poufne zwierzenia* dziewcząt. Tu wreszcie kochankowie schodzą się—umyślnym przypadkiem. Ona nie może niby udźwignąć kubła z wodą więc on jéj pomaga. Ona wyśmiewa się z niego, że niezgrabny, a on mówi że winny temu jéj oczy urocze. Krzyżują się słowa i spojrzenia, dziewczyna kraśnieje i blednie, a śmiać się nie przestaje na chwilę...

Takie *rendez-vous* sielskie przedstawił p. Valent w obrazku: *Przy studni*. Ale obrazkowi temu brak tego, co winno być alfą i omegą, kompozycyi rodzajowéj, brak mu: prawdy. Figury kochanków pozbawione tak niezbędnéj w tym razie typowości. Gdyby postawić ich między tłumem wioskowym, wszyscy mężczyźni i kobiety odwróciliby się mówiąc: „To nie swojacy, ino przybłędy jakieś."

Święty Jacek (p. Gramatyki) zdaje nam się płótnem zdjętém ze ścian klasztoru. Dodajmy: zdjętém niepotrzebnie. Tam, narkotyczne wyziewy kadzidła, szept mnichów odmawiających „Psalmy pokutne," tajemnicze półświatło gromnic i dnia który wkrada się z lękiem przez szybki w ołów oprawne, stuk sandałów na korytarzach, różańców chrzęst, wreszcie owa „groza święta" dobywająca się z krzyżów rozpiętych na białéj ścianie, z ksiąg o srebrnych klamrach i pargaminowéj okładce, z rzeźb dębowych i posągów—wszystko to wytwarza oddzielną atmosferę, w któréj święci i cudotwórcy swobodnie się poruszają. Tam obraz natchniony przez wiarę, bezpieczny jest przed bazyliszkowym wzrokiem krytyka. Tam każdy oddaje mu pokłon, a nikt nie zastanawia się nad tém, czy, i jak odpowiedział on warunkom sztuki. Wiara bowiem wyłącza krytykę. (*d. n.*)

KORESPONDENCYA

Wiedeń w czerwcu.

Dnia 15 z. m. odbyło się w sali uniwersyteckiéj, pamiętnéj wypadkami 1848 roku, uroczyste posiedzenie Akademii Umiejętności, na którém Akademia święciła oraz dwudziestopięcioletnią rocznicę swego istnienia. Uroczystość odbywała się dość cicho, bo też Akademia wiedeńska jest stosunkowo za nadto młodą instytucyą naukową, aby mogła robić sobą wiele hałasu; atoli dość była zajmująca, wiele ciekawych wyświeciła nam szczegółów, dotrwaliśmy też na niéj do ostatka, chociaż wyznać tu trzeba, że Akademia wiedeńska jako złożona z samych tylko Niemców, jest dla nas po części obojętna. Mówimy: po części, zastrzegając przytém, że dla prawdziwéj nauki, opartéj na samodzielnych badaniach, mamy zawsze głębokie poszanowanie bez względu na okoliczności.

Oprócz akademików w mundury galowe przybranych, z wyorderowanemi piersiami, zaszczycili obchód obecnością swoją ministrowie: Stremayr oświecenia, Unger bez. teki, Chlumetzky minister rolnictwa, rector magnificus uniwersytetu Baron Hye, były minister bar. Bach, hrabia Choriński namiestnik Dolnéj Austryi, Altgraf Galm, burmistrz miasta Wiednia Dr. Felder, tudzież wielu professorów uniwersytetu. Audytoryum składało się przeważnie ze studentów, lecz zasiadło także pomiędzy nimi kilku obywateli i urzędników. Kobiet wcale nie było.

Ponieważ kurator Akademii arcyksiążę Rajner jak zwykle nie przybył, przeto zastępca jego Schmerling, niegdyś prezes rady ministrów, a obecnie prezes najwyższego trybunału i prezes izby panów, zagaił posiedzenie. Imponująca to postać z głową w górę zadartą jak u dorobkowicza. Był w żałobie dworskiéj, z powodu świeżego zgonu arcyksiężny Zofii, matki cesarza, z pod fraka atoli wyglądała czerwona wstęga orderu Św. Szczepana. W odczytanéj przemowie pan Schmerling powitał członków i wytłómaczył dla czego uroczyste posiedzenie akademii odbywa się w tym roku późniéj niż zwykle.

Oto Akademia brukselska obchodziła teraz właśnie stuletnią rocznicę swego istnienia, wypadało więc wstrzymać się z obchodem w Wiedniu, dopóki się tamten nie skończył, a to tém bardziéj, że Akademia brukselska jest dziełem Maryi Teressy, gdy jeszcze Belgia zostawała pod panowaniem Habsburgów. Na obchód uroczystości w Brukselli Akademia wiedeńska, czcząc tym sposobem pamięć „wielkiéj cesarzowéj," wysłała jako delegata pana Arnetha swego wiceprezesa, oraz dyrektora cesarskich archiwów, który też doznał tam jak najlepszego przyjęcia. P. Arneth jest autorem wielu obszernych biografij historycznych i wydawcą materyałów do historyi czasów nowszych; wydał on: Życie hr. Starkenberga, księcia Eugeniusza Sabaudzkiego (3 tomy), Pierwsze lata panowania Maryi Teressy (3 tomy), Korsespondencyę cesarza Józefa II austryackiego z cesarzową rossyjską Katarzyną, Korrespondencyę Maryi Antoniny z Józefem II i Leopoldem II, Korespondencyę Maryi Teressy z Maryą Antoniną i t. p. Jest więc poniekąd nadwornym historykiem, i z tego względu jeżeli delegat miał na obchodzie brukselskim przypomnieć Belgijczykom dawnych władców ich kraju, nie można było zrobić odpowiedniejszego wyboru.

Skończyła się urzędowa a więc zimna przemowa p. Schmerlinga. Słuchacze korzystając z krótkiéj przerwy, zaczęli się rozglądać po pysznéj marmurowéj sali, pięknemi sztukateryami ozdobionéj i liczyć ordery na piersiach członków Akademii. Najwięcéj miał ich, czyli najwięcéj przyniósł ich na sobie baron Adam Burg, b. professor mechaniki w instytucie politechnicznym, dziś sędziwy staruszek i jak się zdaje najstarszy z całego grona Akademii. Obiedwie strony piersi tak miał wysadzone gwiazdami, że już i na najmniejszy krzyżyk nie znalazłoby się miejsca. Inni akademicy mieli po dwa i trzy ordery; bez orderu nie było podobno żadnego. Co się tycze wyrazu fizyonomii, żaden z nich nie sprawia tak miłego wrażenia jak rektor uniwersytetu Br. Hye, ten sam, który w r. 1848 był przywódcą i bożyszczem młodzieży, lecz dopuściwszy się „obrazy wszechwładztwa ludu," zaledwie zdołał uratować się od gwałtownéj śmierci. Wysoka nauka, którą posiada, ani go przytłoczyła swoim ciężarem, ani też nie nacechowała go wyniosłością właściwą uczonym niemieckim. Łączy w sobie żywość Francuza z poczciwością Słowianina, obok naturalnéj powagi, która jednak tak różni się od ponurości najzacniejszego zresztą p. Rokitańskiego i innych nieśmiertelnych wielkości uczonego świata austryackiego, że prawie niepodobna uwierzyć w tożsamość krwi i pochodzenia. Posępnością wejrzenia odznaczał się też i burmistrz wiedeński, chociaż nie filozof i nie członek Akademii. Ciężkie snać myśli owładnęły głowę ojca miasta; bogdaj czy nie zgadniemy, że przez cały czas obecności swojéj na posiedzeniu Akademii miał na myśli relacye licznych komissyj, obradujących nad środkami zaradzenia brakowi pomieszkań w Wiedniu. Kłopot to nielada, gdy ludność wzrasta w daleko większym stosunku niż ilość domów, a obcych, coby sławę Wiednia po świecie roznieśli, nie ma gdzie pomieścić. Ze swojemi łatwiejsza sprawa. Nim żelazne domy nadejdą z Londynu, mogą się dusić w nędznych barakach doraźnie wzniesionych, po kilkanaście rodzin w jednéj izbie. Zresztą przecież tak zawsze nie będzie. Komissye są mianowane i od roku radzą, toć przecie obmyślą jakiś środek zaradczy, a jeżeli to nie nastąpi zaraz, toć przecie wszyscy wiedzą, że mieszkamy w kraju, w którym *lang-sam* było zawsze, jest zawsze i zawsze będzie jedyném hasłem.

Ale dajmy pokój przeglądowi, bo oto następuje najważniejsza część posiedzenia: sekretarz generalny Akademii, dyrektor mennicy i professor Akademii technicznéj Dr. Kristelli-Schrötter zabiera się do odczytania sprawozdania, a nie jest to tylko zwyczajne sprawozdanie z całorocznych czynności, lecz zarazem historya założenia Akademii Umiejętności i jéj 25cio-letniego działania, zawierająca wiele rysów charakterystycznych owego stanu rzeczy, jaki panował w Austryi przed wypadkami marcowemi 1848 r. Myśl założenia Akademii Umiejętności w Wiedniu poruszona została po raz pierwszy publicznie w roku 1837 za panowania Ferdynanda, jest więc płodem owego ruchu, który w ostatnich latach przed rokiem 1848 owładnął w Austryi wszystkie umysły i wzmagając się ciągle i ciągle, doszedł w r. 1847 najwyższego stopnia naprężenia. Reskrypt cesarski, polecający ustanowienie Akademii, datowany jest dnia 30 maja 1846 roku, ale Akademia

weszła w życie dopiero w końcu r. 1847, pierwsze zaś uroczyste posiedzenie Akademii odbyło się dnia 1 lutego 1848 roku. Nie trzeba sobie atoli wyobrażać, że cesarz wziął tu inicyatywę z troskliwości o podniesienie nauk w kraju. Przeciwnie, ówcześni sterownicy rządu, opartego na systemie absolutystycznym, z największą tylko niechęcią skłaniali się do dźwignięcia instytucyi nowszemi pojęciami natchnionéj, i uczynili to tylko w nadziei, że tym sposobem zdołają zażegnać nadciągającą burzę.

Ustanawiając Akademię cesarską, rządową, chcieli tylko zapobiedz, aby się inna samodzielna nie utworzyła, na co się zanosiło, gdy ludzie w ogóle czuć i ruszać się zaczęli. A pojęcia ówczesne były takie, że aż truchlano na samą myśl owego niesłychanego, niewidzianego dotąd liberalizmu, którym założenie Akademii być się zdawało, i na który książę Metternich tylko z potrzeby pozwolił. Cóż było robić? Baron Kübeck zamiast ile możności zapobiegać szerzącym się zgubnym ideom, jeszcze się przyczyniał do ich rozkrzewiania; bo czy uwierzycie? w owym czasie, kiedy w biurokracyę wierzono jak w Pana Boga i w biurokracyi jedynie widziano zbawienie państwa i społeczeństwa, ośmielił się doradzać księciu Metternichowi, aby Akademia Umiejętności nie była urządzona *biurokratycznie*. Książę kanclerz z bólem serca zgodził się i na to, co większa, pozwolił nawet... ale to jest już taką ogromną koncesyą, że dziś jeszcze mówi się o niéj z pewnym strachem—oto pozwolił, aby Akademia Umiejętności nie nazywała się cesarsko-królewską jak wszystkie steueramty, punzirungamty, gemeindeamty i t. d., lecz po prostu cesarską. Pozwoliwszy na tyle niesłychanych wolności, trzeba było zaradzić zgubnym skutkom, jakie ztąd mogły wyniknąć; przeto Metternich w programie dla Akademii Umiejętności, przez siebie ułożonym, wyraźnie przepisał, aby się ograniczyła tylko na te umiejętności, które jak się wyraził, dadzą się „scentralizować," a więc na historyę, filologię i nauki przyrodzone, i aby nie była polem sporów teologicznych, filozoficznych i prawniczych. Nadto oświadczył wyraźnie, że celem Akademii jest postawić zaporę burzliwym prądom czasu, a osobliwie nieszczęsnym separatystycznym zachceniom prowincyi, chociaż Kübeck domagał się, aby Akademia nie była narzędziem do celów politycznych. Pierwszym kuratorem Akademii był arcyksiążę Jan. (*d.n.*)

MIASTO OSTRÓG.

Ostróg miasto powiatowe na Wołyniu przy ujściu rzeki Wilii do Horynia. Najpierwsza o nim historyczna wzmianka 1100 roku kiedy książęta Ruscy na zjezdzie w Wiatyczu, wyzuwszy Dawida Ihorowicza z Księztwa Włodzimierskiego dali mu Drohobuz, Busk, Dubno, Czartorysk i Ostróg.

Ostróg około r. 1260 był jeszcze mało znaczącą mieściną, bo gdy wówczas Burondaj nakazał spalić i zniszczyć twierdze ziem ruskich a okopy z ziemią zrównać--Ostróg nie wspomniany. Świetniejsze jego czasy zaczynają się dopiero od 1386 r. gdy Władysław Jagiełło przywilejem swym w Łucku 10 Listopada, nadaje ks. Fedorowi Daniłowiczowi Ostróg jako twierdzę. Fortyfikacye pierwsze były drewniane i ziemne, Bazyli dopiero przezwany krasnym zbudował je zmuru. Cerkiew zamkowa z początku była drewniana, późniéj Konstantyn hetman wnuk Bazylego zrzucił ją a nową wymurował, któréj ostatki i dziś widzimy, co stwierdza napis nad gotyckiemi oknami: *Initium hujus operis anno* 1521. Zamek na wzgórzu wznosi się wpośród rozległych łąk. Oba brzegi Wilii i lewy brzeg Horynia obwarowany był z dwóch stron głębokim rowem z drugich zaś dwóch ma naturalną wysokość. Z téj strony były dawniéj mieszkania kniaziów. Część ta i dziś jest zamieszkałą przez sąd powiatowy. Pod budynkiem ogromne lochy. Baszta narożna (patrz drzeworyt) w stronie południowo-zachodniéj zamku jak równie dwa inne łączące niegdyś mury miasto opasujące dotąd przetrwały. W zamku tutejszym przebywała księżna Beata, gdy Sanguszko z pomocą jéj stryja Bazylego wpadł do niego i pomimo załogi składającéj się do tysiąca osób uprowadził Halszkę. Za czasów Bazylego, Ostróg był najświetniejszym. On zaprowadził szkały grecko-łacińskie i z polecenia jego wydana tu była pierwsza biblia w języku słowiańskim. W czasie powstania na Ukrainie ogniem i mieczem zniszczyli kozacy miasto 1648 r.; przed pogorzelą m. Ostróg miało na starym-mieście domów 165, na Karolinie 550 i na Nowym-mieście osad 700. Tranzakcyą kolbuszowską 1753 r. dostała się połowa Ostroga wraz z Międzyrzeczem i 36 wsiami, Janowi Małachowskiemu kanc. kor. który go sprzedał w roku 1793 Tadeuszowi Czackiemu, a ten znowu Antoniemu ks. Jabłonowskiemu wojew. pozn. do którego potomków i teraz należy. Roku 1797 utworzono w Ostrogu powiat. Miasto dzieli się na Nowe i Stare, które rzeczka Wilia przedziela, oba ciasne i nieporządnie zbudowane, przepełnione żydami. Ci mają starożytną bóżnicę, niegdyś z drukarnią, która wydawała księgi hebrajskie rozchodzące się po dawnéj Polsce. Jedna z ulic miasta zwana tatarską osadzoną została r. 1508 jeńcami pokonanéj przez ks. Konstantyna Ostrogskiego, hordy. Z zabytków dawnych zwracają na siebie uwagę kolosalne budowle z kościoła i kolegium po jezuickiego fundowane temuż zakonowi w 1624 r. przez Annę Aloizę ks. Ostrogską, żonę Jana Karola Chodkiewicza. Gdy przeszło ono pod panowanie Rossyi urządzono tu seminarium i mieszkanie biskupowi wołyńskiemu greckiego wyznania. Pożar 1809 r. który pochłonął prawie połowę miasta, spalił też kościół i kolegium to wkrótce zreperowane uległo znowu pożarowi 1821 r. i chociaż tylko dachy się spaliły, nie poprawiano już więcéj. Kościół z zapadłem już teraz sklepieniem ma długości 95 łokci a szerokości 47, kollegium łączące się z kościołem o dwóch i trzech piętrach uległo też ruinie, lochy tylko pozostały ogromne, w wielu miejscach piętrowe. W kościele pochowany Jan Karol Chodkiewicz wraz z żoną Anną Aloizą.

Do wyż pomienionych zabudowań należy jeszcze jedno wymurowane przez tęż księżnę Annę 1640 r. dla uczącéj się młodzieży i stanowiące konwikt jezuitów. Ta część budynku po wyjściu jezuitów oddaną została karmelitom lecz zgorzała też 1809 r. nie będąc późniéj odnowioną. Klasztor kapucyński wzniesiony kosztem Malińskich i Lubkowskich na gruncie danym w 1750 r. przez ordynata Sanguszkę, skasowany został 1832 r. Teraz w Ostrogu pozostał tylko kościół farny którego nazwa była już 1432 r. Kościół ten jest pod tytułem Wniebowzięcia.

Ostróg jest dzisiaj w stanie upadku z dawnych fabryk pozostała tylko mydlarnia, fabryka świec i garnków oraz sześć garbarni; ma trzy cerkwie drewniane i od 1835 r. szkołę powiatową o 3-ch klassach w któréj się uczy 60 młodzieży. Ludności 9,199 z téj na żydów przypada 7,940.

Załączony tu drzeworyt przedstawia ogólny widok m. Ostroga wzięty od wjazdu z nowego miasta. Droga przebiega po nad rzeczką; dojechawszy do zwalisk kollegium przedstawionego na drugim drzeworycie skręca się w lewo pod górę i wjeżdża do centrum miasta. Miasto Osróg z mnóztwem swych ruin znakomitych, nader przyjemne wrażenie sprawia oku podróżnika. Z piękną wodą i obfitością zielonych drzew i murawy najzapaleńszemu zwolennikowi wsi mogłoby się podobać to miasteczko i być miłą i wesołą siedzibą. Wieś przypomina tu najwięcéj klekotanie bocianów, które ogromną masą gnieżdżą się na wierzchołkach murów pojezuickiego kollegium i spacerują po rozległéj równinie rozpościerającéj się za niém. *Witold Chłopicki.*

ZE ŚWIATA NAUKOWEGO I SPOŁECZNEGO.

O OBIEGU MATERYI PRZEZ TRZY PAŃSTWA PRZYRODY.

Odczyt professora J. N. Czermaka

miany w Lipsku w amfiteatrze jego prywatnéj pracowni fizyologicznéj.

Że nauki przyrodzone burzą mnóztwo ułud, jakiemi się ludzkość od lat tysiąca żywiła, temu zaprzeczyć nie można, ale gdy się im stawia zarzut, że są pozbawione wszelkiéj poezyi, że się zachowują nieprzyjaźnie w obec każdego udziału wyobraźni, jest to przesąd, który koniecznie odpierać należy, i na odparcie którego posłużyć mogą liczne ustępy tych rozległych nauk.

Ustęp jaki dziś słuchaczom moim przedstawić zamierzam, może zdoła się w części przyczynić do zachwiania owego ku nauce uprzedzenia, pragnę bowiem przedstawić rys obiegu materyi, jednę z prawd, które nauki przyrodzone na jaw wydobyły, a która wspaniałością i powabem fantastycznym wytrzymać może porównanie z najwyższemi utworami wyobraźni.

Musimy wprawdzie odbyć drogę przez kraj nieco suchy i kamienisty, zanim dostaniemy się na stanowisko, z którego ową prawdę ująć zdołamy; wszakże nie należy się dać odstraszyć trudnościom: nie inna droga do rozkoszy prowadzi.

Organizmy roślinne i zwierzęce, do których naturalnie zaliczamy i ludzkie, a które jako istoty żywe przeciwstawiamy utworom i massom nieżyjącym, zbudowane są z substancyj, które tak co do swego wejrzenia, jak i delikatniejszéj budowy i własności, różnią się wybitnie od substancyj należących do świata nieorganicznego—mineralnego. Porównajmy kawałek mięsa, chleba, liść, ziarno pszenicy z kamieniem, kryształem, posągiem marmurowym—a między temi ciałami materyalnemi, znajdziemy więcéj różnic, niż podobieństwa.

Odpowiednio tym różnicom naocznym, okazało się już dawno przy rozbiorze chemicznym ciał roślinnych i zwierzęcych, że one składają się wprawdzie głównie ze znanych materyj nieorganicznych, jak wody i niektórych soli mineralnych, ale że oprócz tego zawierają pewną ilość materyj właściwych, nie zachodzących w naturze martwéj, a zwanych materyami organicznemi; powstał wtedy pogląd, że te ostatnie materye bez których życie nigdy nie występuje, są zupełnie od innych odmienne i że składają się z pierwiastków zupełnie różnych od pierwiastków świata nieorganicznego.

Dla nauki więc o życiu stanowiło to istotną epokę, gdy chemikom udało się wynaleźć metody, za pomocą których tak zwane ciała organiczne mogą być rozkładane na swe pierwiastki che-

miczne. Pierwiastkiem zaś chemicznym nazywamy materyę, która się w żaden już sposób nie da rozłożyć na inne materye, z połączenia którychby powstawała. Woda np. tak długo uważana za ciało proste, za pierwiastek chemiczny, daje się rozłożyć na *tlen* (O) i na *wodór* (H)—dwa ciała lotne czyli gazowe, okazujące własności odmienne: wodór jest najlżejszym ze wszystkich ciał znanych i płonie bladym płomieniem, tlen zaś od niego daleko cięższy, nie jest zgoła palny, ale palenie utrzymuje. Ani wodór, ani tlen daléj się już rozłożyć nie dadzą, natomiast można z dwóch części (na objętość) wodoru i jednéj tlenu znowu złożyć i utworzyć *wodę* (H_2O). Woda więc jest ciałem złożoném, tlen zaś i wodór są ciałami prostemi, czyli pierwiastkami chemicznemi.

Podobnież i *kwas węglany*, który znamy w pieniącém się piwie lub winie szampańskiém, jest ciałem złożonėm, powstającém przez połączenie się dwóch pierwiastków chemicznych, węgla (C) i tlenu (O), gdy jedna część pierwszego z dwiema częściami drugiego tworzą całość chemiczną; kwas węglany ma zatém formułę (wzór) CO_2.

Nakoniec przytoczę jeden jeszcze przykład, *amoniak*. Jest to ten gaz, który się zbiera w pewnych miejscach niezbędnych, i przez swą drażniącą ostrość jest tak uciążliwy dla oczu i nosa. Jest on złożony z dwóch różnych pierwiastków chemicznych, ze wspomnionego już wodoru (H) i tak zwanego *azotu* (N), i ma wzór chemiczny NH_3, to jest jedna część azotu łączy się z trzema częściami wodoru na trzy części amonii.

Metoda, za pomocą któréj zdołano dokonać rozbiory materyj organicznych, zowie się rozbiorem pierwiastkowym (*analizą elementarną*) związków organicznych. Uzasadnienie jéj i udoskonalenie jest jedną z nieśmiertelnych zasług Justusa Liebiga. Powiodła ona do dziwnie prostego i niespodzianego rezultatu, że wszystkie związki organiczne, tak niesłychanie między sobą różne, składają się z nader ograniczonéj liczby zupełnie tych samych pierwiastków chemicznych, które się i w świecie nieorganicznym znajdują; występują tu głównie tylko cztery z sześćdziesięciu kilku pierwiastków, które chemia dzisiejsza zna jako części składowe naszéj planety i jéj atmosfery; są to mianowicie: węgiel (C), wodór (H), tlen (O) i azot (N).

Godna podziwu a jednak prawdziwa,—cztery tylko powyższe pierwiastki gruppują się i łącząc w różnéj liczbie i w najrozmaitszych stosunkach, służą do utworzenia nieskończonéj ilości różnorodnych związków organiczno-chemicznych, a które łącząc się lub tylko mięszając z niektóremi związkami nieorganicznemi, tworzą wszystkie organizmy roślinne i zwierzęce. Związki te organiczne składają się bądź tylko z dwóch pierwiastków, albo też łączy się ich trzy, lub więcéj na złożenie całości.

Wszystkie związki organiczne zawierają węgiel (C), tego więc nie brakuje w żadnym utworze świata organicznego.

Wielka część związków organicznych składa się tylko z węgla i z wodoru. Daleko jednak liczniejsze są związki złożone z większéj liczby, niż dwóch pierwiastków; pomiędzy niemi jest wielka grupa, która składa się tylko z węgla, wodoru i tlenu, i druga, która oprócz węgla, wodoru i tlenu zawiera jeszcze azot. Związki pierwsze zowią się bezazotowemi, drugie azotowemi. Ze związków bezazotowych należy odróżnić *wodany węgla*, nazwane tak dla tego, że zawierają wodór i tlen w tym stosunku, w jakim tworzą wodę, t. j. że na jednę część tlenu zawierają zawsze dwie części wodoru, i naturalnie oprócz tego nigdy nie brakujący węgiel. Daléj należy tu wymienić tłuszcze i oleje, które są też złożone z węgla, wodoru i tlenu, ale stosunkowo zawierają daleko więcéj wodoru i węgla niż tlenu.

Co się tyczy drugiéj gruppy związków organicznych, azotowych, to składają się one z węgla, wodoru, tlenu i azotu; wiele jednak z nich i to najważniejsze, zawierają jeszcze oprócz powyższych małe ilości siarki (S), niektóre także fosfór (Ph), żelazo (Fe), tak, że najbardziéj między niemi złożone powstają z połączenia pięciu, sześciu lub siedmiu pierwiastków.

Tu należą owe dziwne związki organiczne, które nazwano ciałami proteinowemi lub białkowemi. Zawierają one wszystkie: węgiel (52 do 54 na sto), wodór (około 7 na sto,) tlen (21 do 26 na sto), azot (13 do 16 na sto), siarkę (1 do 1,6 na sto); posługują zaś do budowy tych organów istot żywych, które objawiają najwyższe i najbardziéj charakterystyczne działania życiowe.

Różnica między związkami organicznemi i nieorganicznemi nie polega więc na rożnicy pierwiastków chemicznych z połączenia których powstają,—gdyż te są też same, czy to znajdują się w częściach składowych mineralnych ziemi, wód, lub powietrza, czy też przyczyniają się do utworzenia ciała ludzkiego, zwierzęcego lub roślinnego. Różnicę tę wywołuje tylko liczba i uporządkowanie opowiedzianych kilku pierwiastków, przy utworzeniu skomplikowanéj całości chemicznéj.

Związki organiczne wyróżniają się przedewszystkiém od nieorganicznych większą zawiłością swego składu, czyli konstytucyi. Drugą wybitną cechą związków organicznych jest to, że są wszystkie palne, podczas, gdy największa część związków nieorganicznych niezdolna jest do spalenia, t. j. do przybierania większéj ilości tlenu.

Przez spalenie bowiem, czyli utlenienie ciał, rozumiemy połączenie się ich pierwiastków z tlenem.

Spalenie czyli utlenie ma stopnie, a nazywamy je zupełném czyli całkowitém, gdy dalszy dostęp tlenu stał się już niemożliwym; największą część związków nieorganicznych stanowią właśnie takie nasycone związki tlenowe.

Związki organiczne natomiast nie zawierają bądź wcale tlenu, albo gdy ten się znajduje, to zwykle w tak stosunkowo małéj ilości, że we wszystkich razach jest możliwym nowy dostęp i nowe wiązanie tlenu t. j. że może nastąpić zupełne spalenie, w skutek którego związek organiczny ostatecznie rozpada się na produkty natury nieorganicznéj. Jeżeli więc cały organizm roślinny lub zwierzęcy zostanie zupełnie spalony, to największa jego część ulatnia się w powietrze i pozostaje tylko reszta nieorganiczna, jako tak zwany popiół, którego najczęściéj jest bardzo niewiele, niekiedy prawie wcale go nie ma.

Fakt ten objaśnia się tém po prostu, że woda, która co do ilości stanowi największą część wszystkich ustrojów organicznych, pod wpływem ciepła uchodzi w postaci pary, podczas gdy związki organiczne, bezazotowe i azotowe, składając się głównie z czterech opowiedzianych pierwiastków: węgla wodoru, tlenu i azotu wydają przeważnie produkty spalenia lotne. Węgiel związków organicznych spala się na kwas węglany, którego tylko drobna cząstka zostaje zatrzymaną w solach popiołu, w postaci węglanów; wodór (H) ich, częścią spalając się na wodę (H O) częścią łącząc się z azotem (N) na amoniak, również się ulatnia; podczas gdy niewielkie ilości siarki i fosforu, spalając się, czyli utleniając na kwas siarczany i fosforny, pozostają w popiele.

Główną jednak ilość popiołu stanowią związki nieorganiczne czyli mineralne, które się już znajdowały w ustroju roślinnym lub zwierzęcym, z wyjątkiem wody, która podczas palenia wyparowała.

Oprócz kwasu węglanego, siarczanego i fosfornego, które jakeśmy to widzieli, są w części pochodu organicznego, znajdujemy w popiele, w połączeniu z ciałami zasadowemi, jeszcze chlor (Cl), fluor (Fl) i krzemionkę (tlen i krzem, Si). Zasadowemi materyami popiołu są alkalia: potaż (potas, K, i tlen) i soda (sód, Na, i tlen), i ziemie alkaliczne: wapno (wapń Ca; i tlen) i magnezya (magnez, Mg, i tlen) i jedyny metal ciężki żelazo (Fe).

Ostatniemi przeto utworami spalenia ciał roślinnych i zwierzęcych są: niektóre sole mineralne, woda, kwas węglany i amoniak.— Wszystkie utwory te ostateczne, które wydaje spalenie, wydaje inny jeszcze proces, właściwy już tylko ciałom organicznym,—process rozkładu czyli niszczenia—tak zwane gnicie. Także przez gnicie ciała roślinne i zwierzęce rozpadają się ostatecznie na kwas węglany, wodę, am[illegible] i solę mineralne. (*d. c. n.*)

ROZMAITOŚCI.

— W Londynie kobiety zawiązują „Towarzystwo zdrowia publicznego.” Celem stowarzyszenia jest rozwijanie i upowszechnianie zdrowych wyobrażeń hygienicznych i stósowanie ich w praktyce. Cel ten ma się osiągnąć: przez zakładanie stowarzyrzeń hygienicznych w całym kraju, zostających w stosunkach z instytucyą główną; przez skuteczny nacisk i starania bezpośrednie o wprowadzenie wykładu hygieny w szkołach; wreszcie przez rozłożenie biura, którego zadaniem będzie odpowiadać na pytania osób prywatnych, tyczące się środków hygienicznych. Tak więc Angielki zamiast szermować o kwestyach ekonomicznych i społecznych, nie wiedząc przytém co to jest w historyi ekonomii „prawo do pracy,”—wolą wynajdywać nowe drogi pracy wysoce pożytecznéj dla społeczeństwa. Praktyczne Angielki zrozumiały, że nie gadaniem, ale pracą zdobywa się prawa.

Wydawca Hipolit Orgelbrand. Дозволено Цензурою, Варшава 22 Іюня (4 Іюля) 1872 г. **Redaktor,** Mieczysław Orgelbrand **Mag. Pr. i Adm.**

w Drukarni S. Orgelbranda Synów, w Warszawie ulica Bednarska Nr. 20.